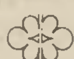
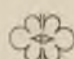
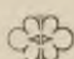


PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Redakcja i administracja w domu przy ul. **Hożej № 52, m. 4, na dole;** otwarte, codziennie, prócz niedziel i świąt, od godz. 10-ej z rana do 1-ej po południu i od 3-ej po południu do 7-ej z wieczora.

Nr. 39. Warszawa, d. 24 (11) Września 1904 r. Rok III.

  Łęczyca.  

Praca zalecona do druku na 2-im konkursie gieograficznym tygodnika „Naokoło świata".

Miasto powiatowe Łęczyca, położone pośród obszernej równiny, po lewej stronie rzeki Bzury, w gub. kaliskiej, o 3 mile od st. Kutno, kolei Wiedeńskiej (na odnodze bydgoskiej) i o $3^1/_2$ mili od stacji kolei Warszawsko-Kaliskiej w Zgierzu, liczy przeszło 10,000 mieszkańców, około 360 domów, trzy rynki i kilkanaście ulic.

Nazwę swą miasto zawdzięcza swemu położeniu gieograficznemu; dawnemi czasy nadano mu ją, jak i ludowi, osiadłemu tutaj, od rozległych łąk i nieprzebytych błot i bagien, które niegdyś pokrywały te strony. Obecnie resztki tych trzęsawisk przedstawiają się w postaci obszernych, mokrych łąk i torfowisk, poprzerzynanych licznemi strumieniami i rowami, które wywołują wilgoć, a podczas roztopów wiosennych, z powodu wydobywających się wyziewów, wpływają poniekąd ujemnie na stan zdrowotny.



Ruiny zamku w Łęczycy.

Początek Łęczycy ginie w pomroce przeddziejowej.

O czasie założenia miasta, którego rodzicem była dzisiejsza wieś Tum, historja nie wspomina.

Według uczonych badaczów starożytności Słowian, na tych obszernych równinach, ukryte śród chłodnych, tajemniczych trzęsawisk, otoczonych mrocznemi puszczami, żyło słowiańskie plemię Łęczan, pierwotnie zwanych Łużycanami, Luczanami lub Ligiami, mając gród modrzewiowy w pobliżu rzeki Bzury. Gród ten stać miał na miejscu dzisiejszego Tumu, a dopiero później część mieszkańców, z powodu zbytniej wilgoci, przeniosła się dalej na południe, do suchszej miejscowości, dając początek dzisiejszej Łęczycy.

W dwa lata po przyjęciu chrześcijaństwa w Polsce, na miejscu pierwotnej Łęczycy, w r. 967, Mieczysław I zbudował, w pobliżu zniszczonej kontyny pogańskiej, jeden z pierwszych kościołów w kraju, wspaniały, o granitowych murach tum, przyszłą archikolegjatę, miejsce zjazdów słynnych synodów duchownych. Od tego czasu, Łęczyca zjawia się na kartach dziejów kraju.

Było to niegdyś miasto bogate, rozległe, świetnością swoją zaćmiewające inne; ludność jego liczono na dziesiątki tysięcy. Dzisiaj, po wielu burzach wojennych, częstych klęskach pożaru i niszczącej zarazy morowej, która nieraz tu grasowała, miasto zubożało i kto wie, czyby zupełnie nie znikło z powierzchni kraju, gdyby nie szczególna opieka nad nim królów i książąt ziemi Łęczyckiej.

W r. 1085 Władysław Herman wybudował tu kościół pod wezwaniem św. Idziego.

Po jego śmierci, pierwsza burza wojenna przeszła nad starym grodem w Tumie, jakby dając początek przyszłym nawałnicom. Synowie Władysława Hermana, Bolesław i Zbigniew, wszczęli spór o podział państwa, którego ofiarą padł i zamek, zrujnowany podczas oblężenia. Po zdobyciu, Bolesław kazał go naprawić i przeniósł tu stolicę arcybiskupstwa gnieźnieńskiego wraz z sędziwym Marcinem, poleciwszy mu osiąść przy tumie. Po pokonaniu Zbigniewa, ziemia Łęczycka została przyłączona do korony.

W r. 1180 Kazimierz Sprawiedliwy zwołuje tu pierwszy sejm, który ustanawia ważne prawa o polepszeniu bytu ludności i radzi nad zjednoczeniem kraju. W piętnaście lat później, dzięki warowni zamkowej, Łęczyca staje się kasztelanją.

Około roku 1210 Konrad Mazowiecki mianuje ziemię Łęczycką województwem, a Łęczyca staje się jego stolicą.

W r. 1240 straszna klęska nawiedziła miasto: srogi napad tatarów zimą tego roku, zmiótł je z powierzchni ziemi wraz z zamkiem. Dopiero ks. Kazimierz Mazowiecki podźwignął miasto z gruzów i odbudował zniszczony zamek.

W cztery lata później arcybiskup Fullko, za bulą papieża, zwołuje pierwszy synod do Łęczycy, w celu ogłoszenia krucjaty przeciw ks. Lignickiemu, Bolesławowi Łysemu. Synod odbył się w archikolegjacie tumskiej, stałym miejscu przyszłych, częstych synodów.

Zaledwie po strasznym napadzie tatarów miasto trochę podźwignęło się z gruzów, gdy zimą r. 1277, jak piorun z jasnego nieba, spada dzicz pruska na te strony i, jak jej poprzednicy azjatyccy, przeszedszy po zmarzniętych błotach, ogniem i mieczem niszczy okolice. Zachęceni obfitością łupów, w następnym roku powtarzają napad i burzą miasto.

W siedemnaście lat później, połączone hordy Litwinów, Żmujdzinów i Prusaków, w sam dzień Zielonych Świątek, wpadają do Łęczycy, mordują ludność, rabują i oddają na pastwę ognia, uprowadzając w niewolę 36,000 jeńców.

W r. 1302 król Wacław mianuje Łęczycę starostwem. W dwadzieścia dziewięć lat później, na miasto nowoodbudowane, po napadzie Litwinów, napadają kilkadziesięcio tysiączne hufce krzyżackie, rabują i niszczą ogniem wraz z okolicami. Zdobywają i burzą stary zamek śród moczarów, gród łęczycki srodze jednak został pomszczony, przez sędziwego króla Łokietka, w pamiętnej bitwie pod Płowcami, gdzie obładowani zdobyczą łupieżcy ponieśli ciężką porażkę.

Po strasznym tym napadzie, z gruzów popalonych odbudował świątynie i domy Kazimierz Wielki. Obwiódł je warownym murem z basztami, a na miejsce zburzonego, drewnianego zamku, w odpowiedniejszym miejscu wzniósł potężny, murowany wraz z klasztorem i kościołem O.O. Dominikanów. Podczas głodu w r. 1361 klasztor niósł wielką pomoc ubogim mieszkańcom, darmo rozdając chleb i zboże.

Po śmierci tego króla straszna zaraza morowa panowała tutaj, niszcząc ludność.

W r. 1400 na gród, tyle razy niszczony, spadła nowa klęska w postaci wielkiej pożogi, podobno zdradziecko wznieconej przez Krzyżaków.

Władysław Jagiełło, chcąc dopomóc miastu do podniesienia się z gruzów, zamienia dotychczasowe prawo polskie na magdeburskie. Za usilnym staraniem tego króla, Łęczyca w kilka lat znowu zmartwychwstaje. Już w r. 1409 zwołany tu został walny zjazd koronny, w celu wyprawy przeciw Krzyżakom, zakończonej świetnym zwycięstwem na polach Grünwaldu i Tanenberga.

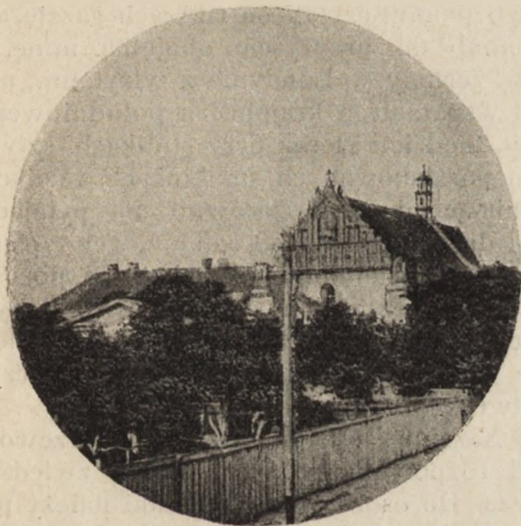
W pięć lat później, zbrojne hufce polskie znowu się tu zbierają i niosą oręż zwycięski pod twierdze krzyżackie.

W r. 1418 król nadaje Łęczycanom nowy zbiór praw, zatytułowanych: *Constitutiones generales terrae Lanciciensis.*

Niebawem też następuje prawie dwustuletni okres częstych synodów, sejmów i zjazdów, szcze-

gólniej za panowania Kazimierza Jagielleńczyka, który tu bardzo często gościł.

Lecz koniec klęsk, nie pozwalających rozwinąć się miastu, jeszcze nie nastał. W r. 1462 znowu ogromny pożar zniszczył miasto tak, że tylko zamek i znaczniejaze budowle ocalały; w pięć lat później, starożytny tum wraz z zabudowaniami księży i rezydencją arcybiskupią uległ temu samemu losowi. W tymże roku z Węgier i Moraw nadciągnęły nieprzejrzane chmury szarańczy i zniszczyły zasiewy.



Kościół po-bernadyński w Łęczycy.

W r. 1484 znowu wielki pożar nawiedził niezupełnie odbudowane miasto tak, że zaledwie zamek i klasztor O.O. Dominikanów ocalał.

Po tych smutnych czasach, miasto odetchnęło, poczęło się znowu odbudowywać i zaludniać. Przeszło sto lat żaden zgubny wypadek nie przeszkadzał jego rozwojowi. Dzięki częstym zjazdom, świeckim i duchownym, rozwinął się tu handel i przemysł rękodzielniczy.

Podług lustracji, dokonanej w r. 1578, miasto posiadało wtedy: 2 apteki, 3 złotników, 11 krawców, 8 kuśmierzy, 29 szewców, 2 łaziebników, 14 przekupniów i rękodzielników jedwabiu. 5 uździenników i siodlarzy, 1 stolarza, 4 miecznikôw, 3 bednarzy, 3 tkaczy, 2 czapników, 2 powroźników, 6 stelmachów i kołodziejów, 13 rybaków, 17 garncarzy, 2 mydlarzy, 4 rzeźników, 12 przekupniów soli, 4 żelaza i 9 ogólnych. Przyczynilo się do tego w części samo położenie miasta, leżącego na punkcie krzyżującym się głównych dróg handlowych. Pierwsza z nich ciągnęła się na północo-zachód, służąc dla handlu ruskiego od Lwowa i Sandomierza przez Łęczycę i Brześć kujawski do Torunia, druga—dla przemysłu niemieckiego: przez Konin, Łęczycę na Stryków i Brzeziny do Radomia.

Były to czasy najświetniejsze i najpomyślniejsze dla miasta. Ludność się wzmogła i wzbogaciła, wspaniałe budynki upiększały liczną sieć krzyżujących się ulic. Nie przeznaczone jednak było, aby Łęczyca zażywała pokoju i dobrobytu.

W r. 1606 szlachta z rokoszu Zebrzydowskiego wpada do miasta i gród, pracą 12 dziesiątków lat podźwignięty z gruzów, rabuje i prawie do szczętu pali. Niedosyć na tym: synody duchowne, którym przeważnie miasto zawdzięczało swój dobrobyt i rozwój, przeniesiono do Piotrkowa w następnym roku po pożarze. Od tego czasu cisza zapanowywa w starożytnym grodzie, zaledwie od czasu do czasu przerywana przeglądem pospolitego ruszenia, którego miejscem zbioru były błonia Łęczyckie.

Z ciszy tej wyrwały miasto klęski lat następnych: w r. 1642 zaraza morowa, a w dziesięć lat później straszny pożar, który zniszczył całe miasto wraz z przedmieściem tak, że podobno zaledwie dwa domy ocalały.

W r. 1655 Szwedzi bombardują, zdobywają i chciwą gospodarkę swoją wyniszczają miasto. A po szturmie wojska polskiego pod dowództwem Jana Kazimierza i strasznej rzezi przeniewierców, z miasta pozostały jedynie ruiny i dymiące zgliszcza. W sześć lat później zaraza morowa znów gnębiła mieszkańców nieco odbudowanego grodu.

W r. 1705 Karol XII, po morderczej walce, zdobył miasto, które uchodzący Sasi palili. Po tym pożarze dopiero, w dziewięćdziesiąt lat później, Prusacy, zająwszy Łęczycę, dźwignęli ją, a w roku 1797, po pierwszym rozbiorze Polski, włączyli do Prus południowych.

W r. 1806 Napoleon zajmuje Łęczycę, wzmacnia, fortyfikuje i zakłada tutaj składy amunicji i magazyny żywności. W trzy lata później Austrjacy szturmem ją zdobywają i niszczą fortyfikacje, a zamek doprowadzają do zupełnej ruiny.

(D. n.) *E. Piotrowski.*



JÓZEF GIEYSZTOR.

Na Dalekim Wschodzie.

(Ciąg dalszy.)

Dopiero po śniadaniu jesteśmy zdolni oglądać dalej osobliwości Maghi. Uprzejme „mus-me" żegnają nas dźwięcznym „okin-origato" (bardzo dziękuję), poczym idziemy dalej za przewodnikiem. Ze skały, na którąśmy weszli, roztaczał się rzeczywiście ładny widok na morze. Zwisające nad nami gałęzie sosen tworzyły jakby ramę zieloną, a z dołu śmiała się do nas, zalana słońcem, zatoka z białemi skrzydłami żagli i pstremi plamami bawiących się na brzegu dzieci. Mnóstwo dzieci było i obok nas, gdyż na stopniach małej świątyni, ustawionej na szczycie skały, zastaliśmy grono z ożywieniem rozmawiających z sobą japonek, które dzieci te widocznie z sobą przyprowadziły. Kilka kobiet miało zęby uczernione, na znak, że są mężatkami, brzydki ten jednak zwyczaj zaczyna coraz bardziej zanikać i po miastach już go prawie się nie widzi.

Drogę powrotną odbyliśmy na rikszach. Na dobrej równej drodze jest to jazda wygodna i nawet przyjemna, bo na woźnicy, biegnącym szerokim, równym kłusem, nie znać nawet wysiłku. Kiedy jednak zaczęło się wspinanie w górę, żal mi się zrobiło improwizowanego konia i zeskoczyłem z wózka. W połowie mniej więcej drogi znajduje się wieś z kilku herbaciarniami, zwanemi z angielska „teahouse". Zaszliśmy tam, żeby dać rikszom chwilę wypoczynku po trudnym wejściu na górę. W ładnym, ocienionym ogródku podano nam cierpką herbatę japońską, zaparzaną, podobnie jak w Chinach, w samej filiżance. W smaku jest ona zupełnie od chińskiej odmienna i na mój gust znacznie gorsza.

Z powrotem do hotelu zdążyliśmy już koło 6-ej godziny. Pozostawało więc nam tyle tylko czasu, aby się umyć i ubrać do obiadu. W obszernej sali zastaliśmy spore towarzystwo, najwięcej jednak anglików, którzy w swojej roli „glob-trotter'ów" przyjechali z kolei nudzić się w Japonji. Bo że się nudzili, to znać było i z ich min, i z całego zachowania się, które nie zdradzało najmniejszego zainteresowania się nowym otoczeniem, nowemi ludźmi.

W drodze powrotnej z Maghi spotkałem całą kawalkatę riksz, najętych przez towarzystwo anglików, którzy tego właśnie dnia przybyli do portu na wspaniałym parowcu Tow. „Hamburg - American - line". Otóż niektórzy z tych panów czytali na rikszach gazetę, a panie miały tak uroczyście obojętną minę, jak gdyby jechały w Londynie z wizytami, a nie śród wspaniałego krajobrazu południowej Japonji. Siedzieli i teraz przy stolikach, sztywni, w nieposzlakowanych smokingach, rzadko zamieniając obojętne zarówno dla pytającego, jak i dla zapytywanego, zdania. Ten typ anglika, unieśmiertelniony w karykaturze, pozostaje widocznie bez zmiany, bo anglik - przemysłowiec, anglik-kupiec, których znałem, są to ludzie wręcz odmienni, ludzie energiczni, czynni i łatwi w pożyciu.

Nazajutrz od rana wzięliśmy przewodnika i rozpoczęliśmy szczegółowe zwiedzanie miasta. Do osobliwości Nagasaki należy przedewszystkim świątynia Osuwa, czyli „miedzianego konia". Znajduje się ona prawie w środku miasta, na wysokim wzgórzu, na szczyt którego prowadzi kilkadziesiąt szerokich stopni kamiennych. Na placyku, poprzedzającym wejście na stopnie, wznosi się rodzaj bramy spiżowej, z podwiniętemi końcami poprzecznej belki, a druga takaż brama, ale drewniana, znajduje się w połowie góry. Żadna świątynia w Japonji bez takiej bramy się nie obywa.

Obszerny taras przed świątynią wyłożony jest płytami kamiennemi i na nim znajduje się owo słynne wyobrażenie konia. Jest to duży spiżowy posąg konia, wielkości nadnaturalnej, wcale nieszczególnie modelowany. Tuż obok stoją dwa lwy spiżowe, traktowane manjerą chińską i jakieś wazy.

Sama świątynia, posiadająca, jak zawsze, trzy tylko ściany, pozbawiona była jakichkolwiek przyborów modlitewnych, a nad ołtarzem znajdowały się stare, dobrze zachowane malowidła, przedstawiające jakieś sceny z życia bohaterów i mnichów.

Ładniejsze jednak i bardziej nad to wszystko godne uwagi było samo położenie świątyni. Panując wysoko nad miastem, zdawała się ona wznosić ponad poziom codziennych interesów mrowiska ludzkiego, i to właśnie odosobnienie wytwarzało pewien nastrój nie-

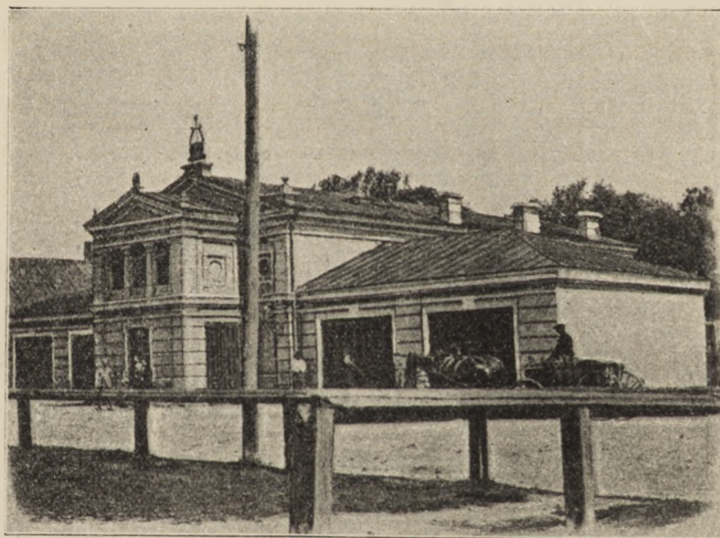
powszedniości, odpowiedni i pożądany dla miejsc tego rodzaju.

Ze wzgórza zeszliśmy inną drogą, parkiem, który wokoło otacza świątynię Osuwa. Dobrze utrzymana dróżka zaprowadziła nas przed ładny gmach, u wejścia którego stały złomy granitu, bryły węgla kamiennego, potężne kłody rozmaitych drzew. Było to muzeum przemysłu.

W kilku obszernych salach zgromadzone były okazy twórczości japońskiej w zakresie przemysłu, zarówno fabrycznego, jak i domowego. Barwne jedwabie, przepyszne hafty, słynne laki i rzeźby z kości słoniowej walczyły o lepsze z matami z trawy morskiej, drewnianemi sandałami, wyrobami z bambusu. Obok imponującego działu ceramiki i „*cloisonné*", t. j. emalji na metalu, mieścił się niemniej ciekawy oddział wyrobów ze skóry, wytwornych a tanich. Papiernictwo i przemysł drukarski reprezentowały śliczne wydawnictwa książkowe, ilustrowane. Wogóle muzeum było bardzo ciekawe, a nadto zostawiało ono na widzu wrażenie przybytku sztuki, tyle smaku i artyzmu znać było na wszystkich wyrobach.

Stamtąd udaliśmy się do ogrodnika, hodującego kwiaty na sprzedaż. Handel kwiatami, traktowany jest w Japonji poważnie,

Do art. p. t.: „Łęczyca".



Teatr w Łęczycy.
(Po bokach—składy rekwizytów straży ochotniczej).

gdyż nawet najuboższy wyrobnik uważa za konieczne ozdobić mieszkanie swoje bodaj jednym wazonikiem. Z tego więc względu hodowla kwiatów prowadzona jest na wielką skalę. Widzieliśmy też niemal całe pole, zasadzone chryzantemami, temi ulubionemi kwiatami Japonji, których krzaki dosięgały rozmiarów olbrzymich o 400 kwiatach.

Drugą specjalność ogrodnictwa japońskiego stanowi hodowla drzew karłowatych. W ładnych majolikowych lub drewnianych wazonach rosły pół-łokciowe pinje, laury, sosny, wszystko to już zupełnie wykształcone i nie wyrastające wyżej.

Pomiędzy grzędami i wazonami kręciło się mnóstwo kobiet i dzieci, których sprowadziło tu jedynie zamiłowanie kwiatów i możność spędzenia w tym otoczeniu wolnej chwili. Po drodze minęliśmy szkołę dla chłopców. Na obszernym dziedzińcu tłum dzieciaków używał rekreacji pod kierunkiem nauczyciela. Chłopcy, w ciemnych kimonach, słomianych sandałach i z krótko ostrzyżonemi czuprynami, podzieleni na dwie partje, trzymali sznur. Na komendę nauczyciela każda z partji starała się sznur i uczepionych do niego przeciwników przeciągnąć na swoją stronę. Nauczyciel brał gorący udział w tej walce, zachęcał do natężenia sił jednych, wstydził drugich, zabraniał używania podstępów. Dzieciaki ciągnęły sznur z zapałem, radosnym okrzykiem witały zwycięstwo swojej partji, a na odgłos gonga ruszyły z ożywieniem z powrotem do klasy.

Tuż obok, dla starszych uczniów, znajdował się plac tennisowy, na którym kilku z nich biegało zawzięcie, odbijając rakietami piłkę. Przypomniały mi się nasze gimnazja wielkomiejskie, gdzie do rekreacji służy duszna sala

po której, ze względu na brak miejsca, mogą uczniowie chodzić tylko wolno, parami,—żal mi się zrobiło naszej młodzieży.

Wspinając się po krętej dróżce coraz wyżej, wstąpiliśmy w końcu prawie na szczyt wzgórz, otaczających Nagasaki. Miasto już zostało w dole i otaczał nas las wokoło. Tu właśnie znajdowały się owe zbiorniki wody. Były to dwa obszerne stawy, powstałe sztucznie przez zagrodzenie górskiego potoku. Ocembrowane i zaopatrzone w szluzy, leżały te dwa baseny czystej jak kryształ wody śród zielonych brzegów, w ciszy leśnej, przerywanej tylko brzękiem cykad, wysoko ponad miastem, zdala od pyłu i brudu.

Dzięki tym wyjątkowym warunkom, odpadała potrzeba kosztownego i skomplikowanego urządzenia wodociągów i filtrów, wodę bowiem można było z tych stawów zwykłemi rurami rozprowadzać po całym mieście bez wszelkiego kłopotu.

Z wycieczki naszej wróciliśmy do hotelu już późno.

„Czy mam po obiedzie przyjść do panów?"—rzucił pytanie przewodnik.

„A cóż po nocy będziemy zwiedzali?"—zapytałem zdziwiony.

„Panowie nie widzieli gejsz".

Prawda, gejsze! Być w Japonji i nie widzieć gejsz, toż to byłaby zbrodnia. A więc, zgoda! idziemy oglądać i podziwiać te ładne, wietrzne istoty, spopularyzowane przez Lotiego w „Madame Chryzanthème", a jeszcze bardziej przez Sulliwana w operetce „Gejsza."

(C. d. n.)



LEOPOLD JANIKOWSKI.

Z podróży do Afryki.

(Dokończenie.)

W opisanej powyżej podróży towarzysze nie mogli odszukać jeziora; odkładając to na później, powrócili do swojej kwatery w Bakundu przez inne, nieznane dotychczas miasta, pomiędzy któremi zwraca na siebie uwagę Bassingi wielkie centrum obrządków religijnych tych krajów.

Ponieważ Rogoziński, wskutek forsownych marszów po rozmiękłej drodze, oraz uderzeń od wystających gałęzi i zwalonych pni drzew wśród gąszczu lasów, miał bardzo pokaleczone nogi, musiał więc pozostać parę tygodni w Bakundu dla wypoczynku i kuracji.

Dzielny jednakże Tomczek postanowił pójść sam na dalsze poszukiwania.

Przeszedszy przez nowe zupełnie strony kraju Baczi, napotkał górny bieg Małego-Mungo, a minąwszy miasta nieznane: Barri i Nakch, natrafił niespodzianie na górny bieg rzeki Rio del Rey, tworzący około miasta N'Gongo rozszerzenie, jakby jezioro, przepełnione aligatorami. Trzymając się brzegu rzeki, której górna część oddawna była zagadką, T. dotarł szczęśliwie do jej początku i, pomiędzy pagórkami, ciągnącemi się około miasta Boa, odkrył jej źródła.

Na północo-zachód od gór Kameruńskich rzeka Rio del Rey tworzy, około Kalabaru, olbrzymie ujście. Jedno z potężnych jej ramion, rzeka Rumby, wpada do morza nieco niżej na południe. Obie te rzeki, znane były tylko przy ujściach. Oddawna napróżno kusili się europejczycy posunąć się choć trochę w głąb.

Potężny kacyk kalaborski, Jelo-Duc trzymał te strony w zależności, a prowadząc znaczny handel kością i olejem, pragnął mieć monopol i z tego powodu nie puszczał białych, trzymał zaś miejscową ludność pod taką grozą, iż nawet prowizji bali się sprzedać bez pozwolenia despoty.

Rzeka Rio del Rey w górnym biegu rozgałęzia się i przybiera różne nazwy. Odkrycie więc Tomczeka było niemałej wagi. Południowe bowiem, główne ramię rzeki zostało zbadane aż do źródeł.

Korzystam znów z dziennika Tomczeka. Dalsze jego odkrycia najlepiej malują jego własne notatki, pisane pod wrażeniem chwili.

„Opuściłem Boę—pisze Tomczek—z fatalnym bólem głowy i febrą, spowodowaną całodzienną podróżą podczas ulewy. Nadzieja jednakże ujrzenia jeszcze tego samego dnia nieznanego jeziora podtrzymywała moje siły i, choć chwiejącym się krokiem, wyruszyłem w 12 milową podróż. Po kilkugodzinnym marszu, upadając ze znużenia, powitałem z radością w dali jaśniejącą smugę rzeki, spadającej w kaskadach ze skały na skałę... Wtym z prawej zawiał świeży wietrzyk, spojrzałem w tę stronę... Przede mną leżała obszerna płaszczyzna wody, długo szukane jezioro Mbu! Zapomniałem o febrze i zmęczeniu, szybkim krokiem podążyłem do brzegu, a wsiadszy do jednej z lichych pirożek, napawałem oczy czarującym widokiem, jak lustro gładkiej powierzchni jeziora!

Mieszkańcy Mbu, zawiadomieni o przybyciu bajecznego dla nich może, białego człowieka, wyszli naprzeciw, lecz za każdym krokiem, który uczyniłem naprzód, owe setki czarnych cofały się w tył, nie dowierzając dziwnej istocie. Przy pierwszej chacie zatrzymala się wreszcie ciżba; chcąc ją ośmielić, podszedłem ku niej, podając rękę najbliżej stojącemu krajowcowi. Nie zrozumiawszy mojego giestu, olbrzymi murzyn drapnął, co sił mu starczyło, a za jego przykładem poszła i reszta...

Gdym jednak przybył do domu królewskiego, w jednej chwili zapełniła się chata czarnemi, którzy, nie widząc, co czynić ze zdumienia i radości, wdrapywali się na statki i słupy z hałasem, grożąc zupełną ruiną i tak chwiejącej się chacie.

Po chwili, nadszedł stary murzyn o słusznej postawie, król Mukuri, a wziąwszy podaną mu rękę w obie dłonie, trząsł nią długo i serdecznie, wyrażając mi swą radość, iż przecież wreszcie zawitał biały do ich miasta. Ciekawa gawiedź nie opuszczała domu ani na chwilę, a z zapadającą nocą rozpoczęła się hałaśliwa serenada. Opuszczając nazajutrz miasto, obdarzyłem uprzejmego króla zwykłym doborem drobnostek, na widok których, zaświeciły się z radości oczy starca. Przy pożegnaniu zadosyć uczyniłem ogólnej prośbie i wystrzeliłem kilkakrotnie z rewolweru... Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywołał ten wystrzał na dziecinnych umysłach spokojnych krajowców...

Skakano i śpiewano, odchodzono od rozumu, jeden opowiadał drugiemu, jak „mukara" złamał broń, złożył ją i strzelał bez końca... Rozpromieniony król zdradzał wielką ochotę uściskania mnie, lecz wstrzymał swoje popędy, zadowalając się serdecznym pogłaskaniem rąk mojego chłopca, noszącego rewolwer."

Odprowadzony przez całą ludność i żegnany przyjaznemi okrzykami, odpłynął Tomczek ze swoją karawaną, przeprawiwszy się w maleńkich łodziach na drugi brzeg. Wspaniale przedstawiał się 3 milowy obszar wodny jeziora, otoczony pagórkami, które, pokryte gęstym ciemnym lasem, obejmowały jezioro jakby w ramy zieleni. Spokojną toń urozmaicały liczne pirogi, przepływające w różnych kierunkach, obładowane rybami i owocami z plantacji nadbrzeżnych.

— „Na drugim brzegu nowy obraz, zdumiewający swoim majestatem, przedstawia się olśnionym oczom.

Po olbrzymich głazach, pomiędzy któremi szumi wychodzący z jeziora strumień Mukunda, wstępujemy do głębokiej doliny, otoczonej z obu stron gigantycznemi wałami ciemnej skały. Po stromej wązkiej drodze, prowadzącej nad samą przepaścią, w której płynie strumyk, pnącej się pod górę wzdłuż 500 stóp wysokiej ściany, przybywamy na szczyt grzbietu, skąd długim spojrzeniem żegnam niezrównane rozpadliny, gdyż za skrętem drogi, wstąpiwszy w lasy, nie ujrzę ich więcej"...

Wyniki więc podróży dotychczasowych były bardzo ważne. Zostały też natychmiast ocenione przez najpoważniejsze Towarzystwa gieograficzne i zaznaczone na mapie, wydanej przez Akademję Krakowską jednocześnie w języku polskim i niemieckim oraz przez Instytut gieograficzny Iustusa Perthesa w Gocie.

Powróciwszy do Bakundu, Rogoziński i Tomczek zajęli się przygotowaniami do nowej, większej podróży. Ostatnia ta jednak wycieczka była mniej szczęśliwą od pierwszych.

Celem nowej podróży było posunięcie się jaknajgłębiej w kraj Bayongu, który powinien leżeć o parę tygodni drogi od Bakundu; stamtąd zaś byłoby już łatwo dostać się do jezior Liba.

Podczas przygotowań nad sformowaniem licznej karawany zaszły w Bakundu-ba-Nambelek okoliczności, które zdawały się sprzyjać zamiarom podróżników.

Od czasu do czasu przybywał do kraju Bakundu pewien szczep dziki, o którym dawniej nie słyszano, z bardzo dalekich stron w głębi; zowie się „Befarenganja". Przynosili oni kość słoniową, przypędzali inwentarz itp., zamieniając to u bakundyjczyków na żelazo, sól, tytoń i tkaniny. Pewnego dnia przybyli oni

również, lecz, czując się wyzyskiwanemi, pragnęli ominąć pośredników i, przeprawiwszy się przez rzekę Mungo, dotrzeć bliżej do brzegów Oceanu. Lecz owa kasta murzynów-faktorów, podobnie jak białych w głąb, tak i czarnych z głębi, nie chce dopuszczać do brzegów. Inaczej straciłaby monopol handlu. Widząc więc zamiary befarengańczyków, ludność Bakundu rzuciła się uzbrojona na ich małą karawanę, rozproszyła ją i zrabowała towar. Podczas bójki jeden z młodych befaraganjów, nazwiskiem Ekue, otrzymał silne cięcie kotlasem w ramię.

Znajdujący się podówczas w Bakundu Tomczek przyjął na siebie rolę pośrednika, uspokoił walczących, opatrzył rannego, zeszył głęboką ranę i zabrał go do misji angielskiej. Niektórzy spółrodacy pozostali w misji, dla opieki nad chorym, inni powrócili do swego kraju, aby donieść o całym zajściu.

W jakiś czas potem przybywa nowa, liczna karawana z głębi, a na czele jej stary Mukune, ojciec chorego chłopca, podówczas już rekonwalescenta. Okazało się, iż jest to jeden z najpotężniejszych kacyków owego plemienia.

Początkowo przybysze, zobaczywszy białych, obawiali się zbliżyć, lecz, gdy kacyk Mukune, zobaczył swego syna, prowadzonego za rękę przez Tomczeka, wdzięczność przemogła obawę; rzucił się ku nim i, ująwszy za rę-

Do art. p. t.: „Łęczyca".



Kościół parafjalny (Fara) w Łęczycy.

ce, dziękował w gorących słowach za pomoc i opiekę.

„Tu—mówił—jestem gościem, nawet niemile widzianym, nie mogę więc dać białym dowodu swej wdzięczności, lecz przyjdźcie do mego kraju, a przekonacie się z przyjęcia, że Makune umie być przyjacielem tych, którzy mu ocalili od śmierci syna."

Propozycja podobna była bardzo na rękę, przyjęli więc ją towarzysze. Wobec zaś spodziewanego oporu mokończyków, przez których kraj prowadziła droga, Mukune przyrzekł przysłać kilkuset wojowników ze swego plemienia, jako eskortę i obronę. Na granicy Mokonji, miał być punkt zborny.

Wkrótce ładunek towarów, obliczony na kiika miesięcy, był gotowy. Rozdzielany na części wagi 60 funtów, został rozdany kilkudziesięciu tragarzom i karawana nasza wyruszyła z Bakundu, ożywiona nadzieją, iż, wobec spodziewanej pomocy, nie napotka już po ważniejszych przeszkód.

Stało się jednak inaczej! Jak błyskawica rozeszła się po krajach wieść, iż „mukara", zaprzyjaźniwszy się z królem befarenganjów, ciągnie z ogromnemi skarbami do niego, pragnąc wydrzeć handel z rąk balongczyków i mokończyków. Rozwścieczona tą obawą falanga powstała.

Gdy więc przyprzeczona eskorta befarenganjów, ukazała się około miasta Makonji, rzuciły się na nią kilkakroć większe zastępy uzbrojonych krajowców. Rozpoczęła się krwawa bitwa. Befarengańczycy, słabsi liczebnie, zostali rozbici i rozproszeni ratowali się ucieczką.

Tegoż samego dnia, przybył Rogoziński i Tomczek. Roznamiętnieni walką makończycy stali obozem. Wysłanych parlamentarzy uwięzili, wreszcie poranionych odesłali z oświad-

czeniem, iż śmierć czeka białych, jeżeli się krok dalej posuną. Nic nie pomogły przedstawienia.

Z gniewem i żalem trzeba było zawrócić i wyrzec się na długo tej najkrótszej drogi w głąb. Makończycy bowiem zamknęli ją na wszystkie strony, podburzając grozą okoliczne plemiona do oporu. Karawana wreszcie, widząc niebezpieczeństwo, odmówiła posłuszeństwa, zaczęły się bunty i kradzieże.

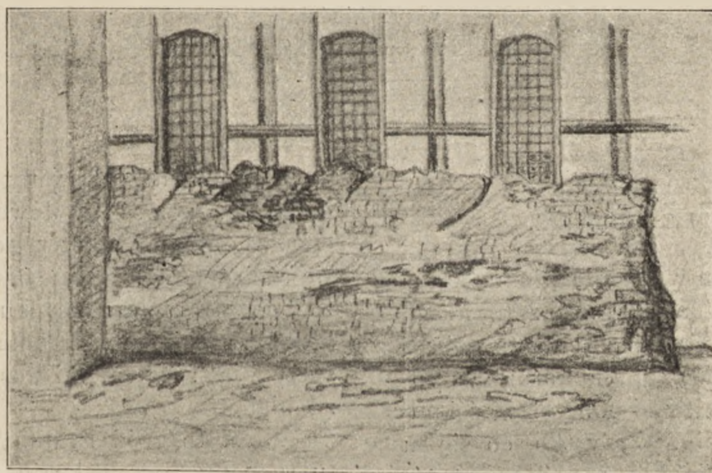
Kacykowie Bakundu, przestraszeni też następstwami, przybyli w licznym orszaku, aby zabrać białych i przyprowadzić z powrotem do swego kraju.

Powrócili więc nasi podróżnicy do Bakundu, stamtąd zaś, po krótkim odpoczynku, przez góry Kameruńskie do brzegu oceanu i na stację Mondoleh.

Tu robiliśmy wspólnie nowe plany i przygotowania nowych podróży. Był projekt puszczenia się po rzece Kameruńskiej lub Lungassi w głąb. Z wielkim kosztem i trudem sprowadzeni tragarze, z plemienia „Kru", mieli nam towarzyszyć. Niestety, znów nieprzewidziane wypadki pokrzyżowały nam wszystkie projekty. Wojna pomiędzy Niemcami a Kameruńczykami obudziła w tych stronach nienawiść do białych, zamykając na długie czasy drogę do kontynentu.

Zajęliśmy się więc badaniem sąsiednich gór Kameruńskich i te poznaliśmy dokładnie.

Do art. p. t.: „Łęczyca".



Szczątki murów miejskich.

Bezustanne wycieczki, to dla poznania brzegu, to w góry, to wreszcie na najwyższy *pik*, 14,000 stóp wysoki, wypełniły czas.

Możemy przedstawić teraz najdokładniejszą mapę okolic i gór Kameruńskich. Dodawszy do tego liczne zbiory etnograficzne, antropologiczne i inne obserwacje, słowniczek języków itp. pokaże się, iż wyprawa nasza nie powróciła bez wyników, choć w dość skromnym zakresie.

Zdobywszy wielki wpływ moralny na krajowców, wyzyskaliśmy go, łagodząc wiele dzikich zwyczajów. I tak np. tam, gdzie przed naszym przybyciem toczyły się bezustanne wojny, dziś panuje spokój. Na uroczystych „palawrach", królowie dali rękę i słowo, iż poddają się naszemu sądownictwu, t. j. że w razie jakiegoś sporu z sąsiadami, zamiast zbrojnie napadać, przybędą do nas ze skargą, a wtedy krzywda będzie wynagrodzona, winny zaś ukarany.

I nie było wypadku, aby ów murzyn dziki, dawszy raz przyrzeczenie, złamał je. Mając zaś za sobą większość, moglibyśmy łatwo egzekwować wydane wyroki, gdyż, dla poparcia ich i zastraszenia nieposłusznych, mieliśmy na każde zawołanie kilkuset uzbrojonych krajowców. Lecz nie było potrzeby używać siły.

Dla zyskania większej powagi, zakupiliśmy znaczne obszary ziemi.

W jednym z zakupionych obszarów ugruntowaliśmy misję katolicką. Powstały więc tu szkoły i fabryki rzemiosł.

Nie mogę skończyć tych kartek, nie poświęciwszy choć kilku słów pamięci wiernego druha, Klemensa Tomczeka. Szczegóły śmierci są znane, nie będę ich więc powtarzał.

Hołd, jaki pragnę tu wyrazić dla przedwcześnie zmarłego, jest najzupełniej zasłużony.

Gruntowne wykształcenie, najzacniejszy charakter, niezmordowana czynność i wytrwałość w przeciwnościach, zapał, jaki zawsze bły-

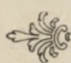
szczał w jego oczach, chęć walki i nadzieja zwycięstwa—oto stałe rysy obrazu, dające pojęcie jakim był towarzyszem w złej i dobrej doli.

Mogiła, która pozostała w cieniu palm afrykańskich, to ofiara, która nas nie zniechęci jednak. Powrócimy tam! Praca dalsza pod hasłem „per aspera ad astra", może nas doprowadzi do zamierzonego celu, dopięcie zaś go będzie najpiękniejszym wieńcem na grobie dzielnego pjoniera...

KONIEC.



PIOTR LOTI.



INDJE.



w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.



(Ciąg dalszy.)

XI.
Gród dzierżgany z kamienia.

Ostatnim moim etapem w krainie głodu, którą porzucam, by się dostać na wybrzeże zatoki Bengalskiej, jest miasto króla Gwalioru, miasto wskroś dzierżgane, miaste całe jak z białej koronki, słynne w Indjach ze wspaniałości i pomysłowości misternej rzeźby w kamieniu. Wszystko, co się tu widzi, jest aż zanadto piękne, zanadto wykończone, zanadto ażurowe; rzekłbyś, że to jakieś gmachy paradne, z cienkiego kartonu, w ząbki i desenie nożyczkami wycinane; atoli z głazu one twardego i przepych ich misterny wcale nie jest kruchy. Tysiące drobnych kolumienek, otaczających przedsionki zwieńczone lub okna strzępione, obwieszone, jak stalaktytami, posiadają kapitele w kształcie liści, podstawy w kształcie kielicha kwiatowego. Mnogość warjacka balkonów, krużganków, galeryjek—zawsze z tego samego kamienia z sąsiednich kopalni—snują się bez końca jedne nad drugiemi, występują mrowiem na ulicę. W tej krainie Gwalioru, gdy pragną zrobić przepierzenie balkonowe lub żaluzję, poza którą ukrywają się piękne panie, biorą płytę kamienną, doprowadzoną do cienkości deski i wycinają w niej arabeski wytworne, cieniutkie; gdy spocznie to na powietrzu, robi wrażenie misternej roboty snycerskiej, a nawet udaje lekkości papierowe. Wszystko to przytym pomalowane na biały kolor wapienny, biało, jak śnieg, z rozrzuconemi tu i owdzie na murach jaskiniami, malowidłami, wyobrażającemi kwiaty, pochody słoni, orszaki bogów.

Od chwili, jak wstąpisz w to miasto czarodziejskie, zmora głodowa przestaje cię trapić, chociaż okolice zniszczone i zniszczenie posuwa się wciąż bliżej, wciąż bardziej rosnące. Ludzie tu bogaci, mają za co kupić zboża; mają tu jeszcze wodę do utrzymania ogrodów, a na placach sprzedają róże całemi koszami gwoli woni i dla zdobienia.

Jest to gród Brahmy, a pomimo to panują tu turbany, jak w kraju Mahometa; co prawda, bardzo osobliwe, zawijane zawsze podług sztywnych wzorów, stosownie do klas i okoliczności, zmieniające się do nieskończoności. To podobne do muszli, to do czapeczek, jak za Ludwika XI, do czepków, do rogów z dwoma skrzydłami wzniesionemi. Są one jedwabne—kolorów szkarłatnego i brzoskwiniowego, koloru jutrzenki, szafranowego i seledynowego; również jak to było w Hajderabadzie, żywe odmiany grają świetnie na tle białości tłumów i białości ulic. Co do znaku Szywy na czole, przybiera on tu zarys białego motyla, bardzo starannie malowanego: dwa skrzydełka, zakończone z każdej strony kuleczką czerwoną; natomiast znak widełkowaty Wisznu taki sam tu, jak na południu Hindustanu.

Jest to miasto rycerstwa; galopują tu rycorze wszędy, harcują na wspaniałych rumakach, w rzędach pozłocistych; wielu również na słoniach, i wielbłądy też ciągną sznurami licznemi, i mułów nie brak, i małych osiołków z siercią szarą, przechodzącą w różową.

Najróżnorodniejszych pojazdów—całe zbiorowisko. Całkiem małe, do wynajmowania, z miedzi błyszczącej, z daszkiem szpiczastym, jak ko-

puła pagody, które kursują jakby przylepione do grzbietu końskiego, wciąż narażone na wierzgnięcia końskie. Inne toczą się wolno i majestatycznie, ciągnione przez parę zebu, rozdzielonych drążkiem bronzowym na metr od siebie—tak że zajmują całą ulicę; pojazdy te z przodu mają kształt galaru, kształt dziobu okrętowego, bardzo ozdobnego, lecz nader wązkiego; jadący siedzą na nim okrakiem jeden za drugim. Wreszcie największe, do użytku pięknych pań, które otaczają się tajemnicą, mają pudło w kształcie jakiegoś olbrzymiego ptasiego jaja; okrągłe, zazdrośnie zasłonięte czerwoną materją, toczą się bez pośpiechu; od czasu do czasu z pod zasłony odwianej dostrzegasz prześliczne ramię, nagie i wonne, manelami złotemi otoczone, lub nagą nogę z palcami ozdobionemi pierścieniami. Lektyki wreszcie różnego kształtu, obwożące paniczów w szatach jedwabnych koloru pomarańczowego lub koloru malwy z oczyma przedłużonemi malowaniem i z djamentami w uszach; lub starych nababów, poważnie odzianych w płaszcze z aksamitu fioletowego lub purpurowego, na których rozściela się broda śnieżnej białości lub malowana na cynober.

Wciąż się krzyżują ukłony—wzdłuż pięknych ulic z koronki, pięknych ulic tiulowych z białego kamienia, bowiem w Gwaliorze wszyscy są bardzo dworscy.

Otóż to tu stanowczo, w klasie dostojnej tego kraju piękność rasy aryjskiej dochodzi to szczytu doskonałości i wytworności, śniadością zaledwie trochę prześcigająca rasę irańską. Cóż za cudowne oczy, jakież aż nadto prawidłowe i wykwintne kibici dam, które przechadzają się grupami w kolorach olśniewających, udrapowane z klasyczna w muśliny przejasne!

Jakież to dalekie od tych nagości bronzowych i długich włosów spadających—tam, w Indjach wielkich palm.

Muśliny te w Radżputanie, gdzie owijają się niemi od stóp do głów, mają rysunki umiejętnie „krzyczące"; barwy tu rzucone zawsze, jak plamy, jak rzuty bez konturu. Jedna wybrała sobie na zawój muślin zielony w wielkie rzuty różowe; druga w jej towarzystwie ma zawój złotożółty w rzuty błękitne lub turkusowe, albo też liljowy w pomarańczowe centki. Lekkość tych tkanin, przeświecające promienie słońca, przezroczystość cieni, wszystko to gra, jak ognie pryzmatu. Częstokroć znowu, pośród tych odmian kwiatowych i jutrzniowych, inna piękność przesnuwa się, jak czarodziejka nocy, wnosząc niespodziankę zawoju całkowicie czarnego, w srebrne długie pręgi.

Zamiłowauie barw gra tu w Gwaliorze tak wielką rolę, iż są tu całe ulice, gdzie jedynie barwią muśliny, rzucając na nie plamy harmonijne. Robi to się w obecności przechodniów, którzy zatrzymują się, by to oglądać, by wyrazić zdanie. Gdy sztuka już ukończona, rozwieszają ją na tych balkonach dzierżganych, lub poruczają dwojgu dzieci, które, biorąc z dwu końców materję, przechadzają się w słońcu, by wyschła. Dzielnica tych farbiarzy ma wygląd ciągłego święta z temi lekkiemi materjami, rozciągnionemi, jak zasłony na domach, lub roznoszonemi w ręku, rozwiewającemi się, jak chorągwie.

Przez miasto przeciągają orszaki ślubne, kroczące powoli, poprzedzane przez trąby i kobzy: pan młody na końcu pod parasolem olbrzymim, który trzymają mu nad głową i kołyszą jego służebnicy. Spotykam także kondukty pogrzebowe, biegnące, ile sił starczy, z trupem omotanym w materje, którego ludzie niosą na ramionach, trzęsąc niemiłosiernie wskutek ruchu szybkiego; za ziemi zgraja zdyszana, wyjąca, jak psy na księżyc. Na rogach ulic fakirzy, proszkiem pomalowani, wiją się w kurzu, jak epileptycy, i modlą się, jak w agonji. Na wielkim rynku, otoczonym świątyniami i altanami z rzeźbą wykwintną, kobiety, osłonione wszystkiemi kolorami tęczy, oblegają handlarzy dywanów, jedwabiu, owoców nasion i placuszków; nigdzie nie dojrzysz tu tych wstrętnych okropności mięsnych, wszędy u nas roztasowywanych: cuchnących ryb, wnętrznośc lub kawałów mięsa,—bowiem lud Brahmy nie je nic z tego, co rusza się i żyje; a co tu sprzedają powszechnie, to róże różowe, bez łodyg, nagromadzone stosami, do wyrabiania olejków lub poprostu do nizania w wieńce i łańcuchy.

(C. d. n.)



Książki i Czasopisma.

Encyklopedja wychowawcza. Tom VII-my, zeszyt I-szy. Prof. Roman Plenkiewicz rozpoczyna w tym zeszycie treściwe a systematyczne wskazówki, jak wykładać literaturę powszechną.

Bibljoteka naukowa. Dwutygodnik Nr. 17-ty. Kautsky'ego „O istocie klasowości". D-ra Ludwika Volkmana „Wykształcenie artystyczne", w formie odczytów, z których pierwszy: „Kształcenie oka". „O ruchu współdzielczym," według książki Karola Guide'a, pisze zajmująco Wojciech Szukiewicz. W dodatku książkowym dalszy ciąg dzieła d-ra L. Brunera „Pojęcia i teorje chemiczne".

Bibljoteka warszawska. Wrzesień r. 1904. Bardzo sympatycznie zarysowywa się przed oczyma czytelnika postać b. kuratora wileńskiego, Adama ks. Czartoryskiego, w studjum pióra prof. J. Kallenbacha p. t: „Kuratorja wileńska" (1803—1823). Henryk Galle rozpoznaje, jak epoka napoleońska odbiła się w słynnej powieści Żeromskiego „Popioły". W szkicu obyczajowym i literackim „Dwa świadectwa" prof. A. Brückner pisze o arjanach w Polsce. Z siłą przekonania wewnętrznego K. Kaszewski traktuje rzecz o gienezie i czynnikach rozwojowych uczuć religijnych. Działy: „Piśmiennictwo", „Kronika miesięczna" i bibljografja dopełniają całości pięknego wydawnictwa literacko-społecznego.

H.

MERECZOWSZCZYZNA
(*własność W. Księcia Oldenburskiego*).



ROZMAITOŚCI.

Budowniczowie kolei wschodnio - chińskiej. Przy wykonaniu tego epokowego dzieła, jakim jest bez zaprzeczenia kolej wschodnio - chińska pracowali śród innych następujący inżynierowie: Seweryn Wachowski był pierwszym pomocnikiem głównego inżyniera budowy, naczelnika transportów, żeglugi, służby drogowej i czasowej służby eksploatacji. Ładysław Rembertowicz był naczelnikiem służby ruchu. Szymon Przewalski był naczelnikiem służby trakcji. Hirszman był naczelnym inżynierem budowy linji południowej do Dalniego i do Portu-Artura. Karol Jokisz był naczelnikiem głównego biura technicznego. Naczelnikami ucząstków budowy byli inżynierowie: Offenberg, Szydłowski, Cywiński, Pląskowski, Weber, Prosiński, Snarski; przy budowie mostu na Sungari pracował inż. Plisowski, przy budowie mostu na Nonni inż. Bajdowicz. Snarski 2-gi zarządzał żeglugą. Ludwik Czajkowski był pierwszym budowniczym Charbina W biurach technicznych pracowali: inż. Nowakowski, inż. Cytowicz (twórca nowego prześlicznego dworca w Charbinie). Można wymienić jeszcze nazwisk kilkadziesiąt, jeśliby szło o wybitniejsze tylko osobistości. Możnaby wymienić nazwisk jesze kilkaset i parę tysięcy, jeśliby szło o szczegółowy wykaz Polaków. A więc kolej chińsko-wschodnia powstała przeważnie z pracy, talentu i umiejętności naszych rodaków.

Nowy rodzaj przemysłu mleczarskiego. Jak donosi „Przemysłowiec" lwowski, w ostatnich czasach wynaleziono w Austrji sposób zamiany kazeiny, znajdującej się w mleku, na stałą masę.

Nowy ten produkt zw. *galalit* może zastąpić wszelkie materje, które w przemyśle mają ogromne zastosowanie np. celuloid, gumę, kauczuk i marmur.

Dotychczas używano mleka odtłuszczonego do rozmaitych celów, jednakże dochód był mały i nie mógł zadowolić producentów.

Wyrób galalitu otworzył nową gałąź przemysłu, ogromnie korzystną dla gospodarstwa wiejskiego.

Już od dłuższego czasu spostrzegano, iż dodatek formaliny do mleka oczyszcza je z bakterji. Większa ilość formaldehydu, dodana do mleka, oddziaływa w ten sposób na kazeinę, iż ta staje się zbitą masą, którą można obrabiać na tokarni.

Z mleka chudego oddziela się kwasami kazeinę, jako ciemno-żółty osad, dodaje się następnie pewną ilość formaliny tak długo, dopóki nie utworzy się zbita masa.

Może ona zastąpić marmur, kauczuk, celuloid, kość i t. p. produkty surowe.

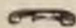
Galalit jest elastyczny, ogniotrwały, można z niego wyrabiać rozmaite sprzęty, daje się toczyć, wiercić, szlifować i polerować. Masa ta powinna rychło znaleźć ogromne zastosowanie w przemyśle, jako produkt, służący do wyrobu grzebieni, przyciskaczy itp. dalej, dla wyrobów elektrotechnicznych, do przyborów izolatorów, a także do wyrobu cygarniczek, kul bilardowych, guzików i przedmiotów dekoracyjnych i t. d.

W ostatnich czasach ukazał się też w handlu szwajcarskim produkt, utworzony również z surowicy mleka, t. zw. *papier kazoidynowy*.

Jestto papier, sporządzony dla celów fotograficznych; warstwę czułą na światło tworzy produkt z mleka, złączony z solami srebra.

Papier ten zastępuje w zupełności łatwo uszkodzić się dający papier kolodjonowy.

(ma.)



Maszyna do latania. Hiram Maxim, o którego doświadczeniach w zakresie żeglugi powietrznej pisaliśmy obszerniej w r. z., wykonał obecnie w Londynie publiczną próbę z maszyną do latania swego wynalazku. Maszyna latająca Maxima ma kształt ryby i unieść może 6 osób; na próbie wzbijała się z zupełną łatwością ponad wierzchołki drzew i szybowała z szybkością 35—50 klm. na godzinę. Szybkość tę spodziewa się wynalazca powiększyć w dwójnasób w przyszłości. Konstrukcja przyrządu, pozostająca naturalnie w tajemnicy, budziła podziw zgromadzonych widzów. Niezwykłe rezultaty tej próby, zdaje się, zawdzięcza wynalazca użyciu aluminjum do budowy maszyny.

a.



Wei-hai-wei, port, „wydzierżawiony" przez Anglików na *99 lat*, w następstwie oddania w dzierżawę Niemcom Kia czau i Rosji Portu Artura, jest obecnie placówką, obserwującą z najwyższą uwagą bieg zapasów rosyjsko-japońskich. Terytorjum, ustąpione Anglikom przez Chiny, składa się z wybrzeży dookoła zatoki Weihaiwei, wyspy Liao-kung i pasa ziemi, około 16 klm. w obwodzie. Kraj przerzynają małe doliny, na nie których znajdują się potoki, wysychające na $^{1}/_{4}$ roku. Pomiędzy dolinami ciągną się skaliste łańcuchy górskie, wznoszące się na wysokość 300—400 metrów. Na tarasach górskich, o ile wzniesienie na to pozwala, mieszkańcy zajmuje się rolnictwem; zaludnienie dość gęste, liczą tu bowiem 123750 mieszkańców, zajmujących 350 wiosek. Przemysłu prawie nie ma, jedyny zaś przedmiot wywozu stanowią ryby solone, wysyłane na południe Chin. Port Wei-hai-wei, utworzony przez zatokę tejże nazwy i wyspę Liao-kung jest znakomity, bodaj najlepszy w Chinach, nigdzie bowiem statki handlowe okręty wojenne nie mogą podpływać tak blizko brzegu, jak tu; ruch handlowy jednak jest słaby, wskutek tego, że Niemcy, zbudowawszy kolej żelazną poza Kiao-czau, ściągnęli w swoją stronę cały handel Szan-tungu. Jedynie małe statki parowe, subwencjonowane przez rząd angielski, utrzymują komunikację i przewożą pocztę pomiędzy Wei-hai-wei i Czifu. Anglicy zrobili z Weihai wei drugorzędną stację morską, skład żywności, plac ćwiczeń dla żołnierzy i marynarzy, oraz sanatorjum dla swej eskadry Dalekiego Wschodu. Miastem Weihai wei zarządzają władze chińskie, całe zaś terytorjum jest podległe komisarzowi angielskiemu, który ma prawo wydawać wszelkie zarządzenia administracyjne. Jurysdykcja należy do trybunałów okręgowych, będących pod zwierzchnictwem sądowym, Wysokiej Izby, od której wyroków służy prawo apelacji do Izby Najwyższej w Hong-Kongu. Gminami wiejskiemi, których jest 350, zarządzają urzędnicy, wybierani przez ludność miejscową. Jak się zdaje, Anglicy nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do Wei hai wei; zajęli je, idąc za przykładem innych państw, wówczas, gdy byli zwolennikami polityki „otwartych drzwi" w Chinach, czyli poprostu mówiąc—jawnego rabunku. Dzisiaj wyznają zasadę „nienaruszalności Chin", a będąc w przymierzu

MERECZOWSZCZYZNA.



Figura Matki Boskiej w parku.

z Japonją, mają dostateczną ilość podstaw operacyjnych morskich, tymbardziej więc Wei-hai-wei musi dziś dla nich znaczenie podrzędne.

a.

Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo."



„Restado estas morto."

Kursa języka Esperanto.

(Ciąg dalszy).

Począwszy od ostatniej wystawy powszechnej w Paryżu, a raczej od roku 1901, gdy ruch esperantyczny wogóle, poczyna wraz z brzaskiem XX-go stulecia rozwijać się coraz bardziej i bardziej—wzmaga się też powoli i liczba kursów języka Esperanto.

Organ centralny esperantyczny „*Lingvo Internacia*", zawiadamia w styczniu 1901 roku o założeniu nowych kursów języka Esperanto przez J. J. Süssmutha w Södertelge, w Szwecji, gdzie urządzono nadto publiczne zebranie esperantystów i gdzie redaktor tamtejszego wielkiego dziennika: „*Södertelge Tidning*" pan K. E. Otterdahl, zachęcony niezwykłym powodzeniem kursów Süssmutha, oddaje swe pismo na usługi miejscowego Towarzystwa Esperantycznego, dopełnia jego tytuł stałym dodatkiem: *Organo por la Societo Esperantista „Unulingveco"* oraz otwiera w nim stałą rubrykę w języku Esperanto p. t. *El la Mondo Esperantista.*

I w organie francuskiego Towarzystwa Esperantycznego: „*L'Esperantiste*", w lutym roku 1901 spotykamy drugą podobną wiadomość, że z dniem 5 lutego t. r. jeden z najzasłużeńszych dziś esperantystów francuskich, p. Paul Fruictier rozpoczyna kursa języka Esperanto w Sekcji Rivoli de *l'„Institute Populaire d'Enseignement Commercial"*, w Paryżu, Rue Saint-Antoine 94.

Równocześnie niemal odbywają się staraniem p.p. E. Deligny i Jean'a Pidoux takież publiczne kursa w innym mieście francuskim – w Saint-Omer.

W parę miesięcy później, dzięki zasłużonemu esperantyście francuskiemu, panu Louis de Beaufront, otwiera na oścież swe podwoje dla iście niezmordowanej odtąd propagandy we Francji języka Esperanto— jedno z najpotężniejszych w Europie Towarzystw, a mianowicie niezmiernie popularne stowarzyszenie turystyczne, znane pod nazwą: *Touring Club de France*, liczące dziś przeszło 83,000 członków (Paris, Avenue de la Grande-Armée, 66). W salonach tedy olbrzymiego tego klubu paryskiego z dniem 29 kwietnia 1901 roku rozpoczyna L. de Beaufront długi szereg swych wykładów języka Esperanto, a wkrótce po tym, wskutek ogromnego napływu słuchaczy, przychodzi mu w tym z pomocą inny jeszcze nieocenionych zasług esperantysta, Dr. Carlo Bourlet, prof. Liceum S. Ludwika i Szkoły Sztuk Pięknych w Paryżu.

W tym samym też prawie czasie — jak donosi „*Lingvo Internacia*" (Lipiec 1901), esperantysta czeski p. Karol Pelant, podejmuje w Bernie na Morawach, takież kursa języka Esperanto—dla robotników czeskich.

17-go listopada 1901 r., prof. Liceum w Annecy (Haute-Savoie) H. Boucon, poprzedzony gorącym przemówieniem do słuchaczy sędziego Dumont, rozpoczyna w miejscowym teatrze kurs języka Esperanto, powitany gromkiemi okłaskami zebranej publiczności.

W Listopadzie też 1901 roku prof. Demarest z Reims, otwiera tamże kurs języka Esperanto przy *Union Chrétienne de jeunes gens.*

Pod koniec wreszcie tegoż 1901 roku, wielce zasłużony esperantysta Prof. Dr. Teofil Cart urządza stałe kursa języka Esperanto dla członków Towarzystwa Politechnicznego („Association Polytechnique") w Paryżu które co środy gromadzą licznych słuchaczy od godz. 8 do 10 wieczorem, a prof. Lapeyre podejmuje nowy publiczny kurs w Valence, który poprzedza świetna mowa o zaletach i znaczeniu języka Esperanto, wygłoszona w dniu rozpoczęcia tegoż kursu, t. j. 4 Grudnia roku 1901, przez prof. E. Boirac'a, rektora Uniwersytetu z Grenoble.

W parę dni ledwie potym, bo 6-go Grudnia tegoż roku, prof. Louis Saint-Loup, dziekan honorowy uniwersytesu w Besançon, rozpoczynna w tymże uniwersytecie publiczny kurs języka Esperanto, który wykładają w dalszym ciągu dwaj jego koledzy, profesorowie wydziału literackiego: Durand i Vandaele.

Rok 1902 przedstawia się w tym względzie o wiele jeszcze dodatniej. Tak: 10-go Marca roku 1902 w Ljonie, prof. P Croisier-Doronsière (Rue de Fargues, 2), rozpoczyna w miejscowej sali amfiteatralnej, przed audytorjum 300 z górą osób płci obojej—pierwszy w tym mieście, kurs języka Esperanto.

W Marcu tegoż roku czasopismo esperantyczne „*La Lumo*", wydawane w Montréal, w Kanadzie, zawiadamia swych czytelników, iż delegat *l'Association Philotechnique de Paris*, prof. Léo Leymarie, miewa co piątek wieczorem w Montréal, w wielkiej sali widowisk de *l'Eden-Musée au Monument National* (Rue St.-Laurent, 206)—wykłady języka Esperanto, oraz że prof. A. St.-Martin rozpoczął również w Montréal, pod egidą klubu Borniera (Rue Beaubien, 956) kurs języka Esperanto, który odbywa się co niedziela od 4-ej godz. po południu w salonach tegoż klubu.

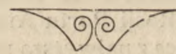
W ciągu też Marca roku 1902, prof. Uniwersytetu dižońskiego, Dr Feliks Lallemant, rozpoczyna z niezwykłym powodzeniem w jednej z sal ratuszowych miasta Dijon, wobec licznie zebranej publiczności, kurs języka Esperanto.

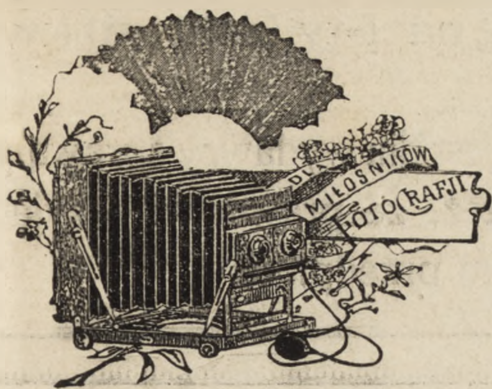
7 Kwietnia tegoż roku za staraniem Towarzystwa Esperantystów paryskich, a z hojną pomocą materjalną francuskiego *Touring Club'u*, p. Gabryel Chavet podejmuje kurs języka Esperanto przy *l'Ecole professionnelle des Sténographes Comptables* (Boulevard Saint Germain, 150).

20 Czerwca roku 1902, prof. Emil Louvet rozpoczyna kurs języka Esperanto przy Instytucie Fizycznym w Lille (Francja).

W czerwcu też roku 1902 ukazuje się w czasopiśmie „*La Lumo*" pierwsza, jeśli dobrze pamiętamy, wzmianka o kursie języka Esperanto, który zorganizował Klub Esperantyczny w Montréal, zwany *Klubo Progreso* (Rue Ste-Elizabeth, 137a). A był to kurs, przeznaczony specjalnie, zarówno dla członków tegoż klubu, jak i dla członków takiegoż klubu kobiecego, pod nazwą: *Virina Klubo Progreso.*

(C. d n.) *A. B. B.*





Jak zostać fotografem?

IX.

Użycie djafragmy przy nastawianiu również jest potrzebne, jeżeli zdejmujemy pojedynczą soczewką lub objektywem aplanatycznym tańszego gatunku.

Liście drzew i skały, zdejmowane w pełnym słońcu, zatracają swą właściwą piękność. W zimie należy unikać zbyt silnych refleksów śniegowych. Wszystkie te dane, tyczące się oświetlenia, które wyliczamy, należy mieć na uwadze przy nastawianiu aparatu, gdyż przy nastawianiu widzimy je dokładnie na matówce. Przy zdejmowaniu portretów osób zauważamy, że silne słońce, padające wprost na osobę, nietylko nie da nam należytego równego oświetlenia, bez plam i niepotrzebnych cieniów, lecz, wpływając oślepiająco na wzrok, da wyraz twarzy zmieniony. Należy więc osobę postawić w dobrym, lecz rozproszonym świetle, to jest cieniu. Korzystnie jest postawić zdejmowaną osobę tak, żeby tło naturalne, budynki lub grupy drzew, tworzyły rodzaj kąta. Postawioną w środku tego kąta osobę zbliżamy w kierunku jednego lub drugiego boku i oświetlenie tym sposobem regulujemy. Pomieszczenie osoby pod drzewem lub pod dachem psuje efekty górnego światła. Przy większych zasobach można zbudować trzy ekrany (ramy na nóżkach z rozciągniętą na nich jasno-niebieską gazą). Jeden ekran posłuży nam za tło, dwa z boków — do regulowania światła bocznego, a prócz tego zasłona, zawieszona nad głową, do regulowania światła górnego. Jeżeli za tło obierzemy materję, nie naciągniętą na ramy, i wskutek tego przy nastawianiu wychodzą fałdy tła, to należy w czasie zdjęcia poruszać materją. Przez poruszenie fałdy zlewać się poczną i tło otrzymamy zupełnie gładkie. Chcąc otrzymać oświetlenie portretu zdejmowanej osoby zwykłe, należy twarz osoby zwracać w stronę, więcej ocienioną, a padające z drugiej strony światło silniejsze tak regulować, ażeby ono równocześnie i harmonijnie twarz oświetliło. Przy robieniu oświetlenia rembrandtowskiego należy postąpić wprost przeciwnie, zwrócić twarz zdejmowanej osoby w stronę, skąd płynie główne źródło światła, przyczym regulować i przytłumiać to źródło światła tak, ażeby nie działało za silnie i nie wywoływało zbyt wielkiego kontrastu pomiędzy słabym oświetleniem z przeciwnej strony. Oświetlenie osób, zdejmowanych w pokoju, jest trudniejsze. Najlepszym do zdjęć jest pokój, mający okna od strony północnej, a przytym nie posiadający blizko za oknem położonych budowli, zwłaszcza malowanych kolorami nieaktynicznemi, gdyż te mogą wywoływać niepożądane refleksy, przy nastawianiu zdjęć portretowych. Dalej pożądany jest pokój duży, posiadający wiele okien, a jeszcze lepiej kąt pokoju, posiadający po obu bokach okna. Osobę sadzamy na drodze pomiędzy dwoma oknami i zawsze bliżej jednego okna, a w drugim oknie regulujemy firanką padające na osobę światło, sami zaś stajemy z aparatem w kącie naprzeciw osoby. Jeżeli okno w pokoju jest jedno, to stronę zacienioną trzeba regulować za pomocą białych reflektorów, zwierciadeł lub blachy polerowanej, przyczym osobę zdejmowaną trzeba ustawić w kierunku ukośnym względem płaszczyzny okna.

Przy zdjęciu, około osoby zdejmowanej stawiać jak najmniej mebli, które psują oświetlenie, harmonję, oraz utrudniają nastawienie aparatu. O ile rzadko zdjęcia pokojowe przy wybuchu magnezjowego, błyskawicznego proszku dają zupełnie dobre rezultaty, gdyż twarz wychodzi martwo, za biało, o tyle zdjęcia, wykonane w ten sposób, iż częściowo eksponujemy przy świetle dziennym a dla dokończenia ekspozycji zapalamy światło wybuchowe, dają rezultaty bardzo dobre. O zdjęciach przy proszku błyskawicznym powiemy nieco obszerniej później. Na otwartym powietrzu najlepiej u nas zdejmować latem i wiosną od godziny 6 do 10½ rano lub od 2½ do 7½ godz. po południu, zimą zaś i jesienią od 9 ej do 10 rano i od 2 — 3 po południu, mając słońce za sobą. Godziny zdjęć i pory roku są ważnemi czynnikami przy ekspozycji, którą nam pozostaje wykonać, po nastawieniu aparatu, ażeby zdjęcie właściwe całkowicie było spełnione.

Ekspozycja jest jedną z najważniejszych i z najtrudniejszych czynności przy zdjęciu, jeżeli je chcemy otrzymać dobre. Trudną jest dla tego, iż jedynie dokładnie nabyć się daje wprawą i uwagą. Ponieważ, jak poprzednio określiliśmy, ekspozycja jest chwilą otwarcia i zamknięcia aparatu w celu pochwycenia obrazu i odbicia go na kliszy, trzeba więc przed ekspozycją być pewnym, że poprzedzające ją czynności: założenie kliszy, ustawienie aparatu i osoby wykonane były dobrze. Ekspozycja dłuższa lub krótsza zależy od warunków świetlnych, w jakich znajduje się przedmiot, mający być zdjętym, zależy ona od mniejszej lub większej siły świetlnej objektywu, oraz od czułości klisz, na jakich zdejmujemy. Dla ułatwienia wprawy w ekspozycji najlepiej używać przy zdjęciach jednego gatunku klisz; a zmieniać je wtedy jedynie, kiedy zdejmujący nabył już przy eksponowaniu pewnej wprawy. Na zmianę ekspozycji wielki wpływ wywiera natężenie siły światła dziennego, które w każdej prawie porze roku i porze dnia jest inne. Natężenie światła jest największe w lecie, a w zimie najmniejsze. Poczynając od zimy, wzrasta ono stopniowo do lata a potym napowrót maleje ku zimie. Tak samo w czasie każdego dnia natężenie światła wzrasta wraz z wysokością słońca; w południe, kiedy słońce stoi najwyżej, jest najsilniejsze, a maleje stopniowo ku wieczorowi, przyczym zmiana natężenia światła rozproszonego odbywa się powolnej, niż światła pełnego dziennego. Na ekspozycję wpływa również w wielkim stopniu użycie djafragm, gdyż zmniejszając je lub powiększając np. w celu zmienienia ostrości, zmieniamy siłę świetlną objektywu.

(d. c. n.) *Wł. Karoli.*



Czas już składać przedpłatę na 4-ty (ostatni) kwartał r. b.

Wczesne uregulowanie nakładu jest dla wydawcy sprawą pierwszorzędnej doniosłości; nie wątpimy też, że prawdziwi przyjaciele pisma naszego pośpieszą z odnowieniem przedpłaty.

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata": *w Warszawie rocznie rb.* 4, *półrocznie rb.* 2, *kwartalnie rb.* 1. *Na prowincji i w Cesarstwie rocznie rb.* 5, *półrocznie rb.* 2.50, *kwartalnie rb.* 1.25. *Za granicą rocznie rb.* 6; *wraz z* **„Bibljoteką ilustrowaną podróży i powieści"**: *w Warszawie rocznie r.* 6, *półrocznie rb.* 3, *kwartalnie rb.* 1 *kop* 50.—*Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie rb.* 7 *kop.* 50, *półrocznie rb.* 3 *kop.* 75, *kwartalnie rb.* 1 *kop* 88 *Za granicą rb.* 9.—*Za odnoszenie do domu* 15 *kop. kwartalnie.*—*Zmiana adresu kop.* 20 —*Cena numeru kop.* 10.

Agientura w Łodzi: Księgarnia L. Fiszera, Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, ulica Hoża № 52 m. 4, na dole.**

Agientura w Częstochowie: Księgarnia J. Nowickiego i S-ki, Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.** Za redaktora: **Antoni Orłowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава, 9 сентября 1904 г. Druk Lepperta i S-ki, Elektoralna 18.